

Jan Skoczyński
Kraków

POST SCRIPTUM

Termin „inteligencja” ma wiele znaczeń. Pierwotnie oznacza „pojętność”, czyli pewną zdolność, która polega na zdobywaniu wiedzy o rzeczywistości i wykorzystywaniu jej w życiu. „Inteligencja” służy również określeniu grupy czy warstwy ludzi wykształconych, to znaczy posiadających określony zasób wiedzy i umiejętności z różnych dziedzin.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tym drugim socjologicznym znaczeniu pojęcia „inteligencja”. W wielu krajach świata, dla których historia była łaskawsza niż dla Polski, inteligencja zdołała wypracować sobie mocną pozycję. Posiada status umysłowej elity kraju, która – jeśli nawet nie ma decydującego głosu w sprawach „najwyższej wagi państwowej” – to przynajmniej jest grupą opiniotwórczą i doradczą.

W Polsce o inteligencji – w pierwszej linii wywodzącej się ze zubożałej i uciekającej do miast szlachty – można mówić dopiero w wieku XIX. Od samego początku grupa ta odgrywała ważną rolę w dziele zachowania narodowej tożsamości obywateli państwa, podzielonego między trzech zaborców. Po odzyskaniu niepodległości to inteligencja, w głównej mierze z zaboru austriackiego, w krótkim czasie przyczyniła się do scalenia w jeden organizm trzech prowincji przepojonych duchem obcych państwowości. Przez prawie dwadzieścia lat starała się ona wywierać wpływ na życie nowego państwa, wreszcie na równi z innymi warstwami społecznymi broniła je przed najeźdźcami z dwu przeciwnych kierunków. W niecały rok po tym wydarzeniu *gros* polskiej inteligencji, która znalazła się w wojsku, ginie w Katyniu.

Na tym można by zakończyć „krótką historię” jednej z grup społecznych. Zaniepokojony Czytelnik wytknie mi zapewne, że nie uwzględniłem prawie pół wieku PRL, która przecież łożyła na szkoły, nie zamykała, lecz przeciwnie – otwierała nowe uniwersytety, mianowała profesorów *etc.*, skutkiem czego niektóre dyscypliny naukowe stoją u nas nawet na niezłym poziomie.

To wszystko prawda. Prawdą jest jednak i to, że inteligencja, jako warstwa społeczna, właściwie nie „istnieje”, ponieważ na wiele lat przerwano naj-

ważniejszy składnik jej istnienia – ciągłość pokoleniową. O inteligencji można najwyżej mówić, że „jest”. Wszak nowej władzy zależało na tym, by mieć własną inteligencję, a nie inteligencję z dziada pradziada.

Inteligencja współczesna jest w dużej mierze inteligencją z pierwszego pokolenia i w przeważającej liczbie wywodzi się z warstwy chłopskiej i robotniczej. I nie ma w tym nic złego: wszak od wieków, w całym świecie obserwujemy przenikanie się tradycyjnych grup społecznych. Zło tkwi w czym innym. W nieprzystawalności *ethosu*, jaki cechuje każdą z tych warstw. Kiedy inteligent bezrefleksyjnie przejmuje obyczaj swoich przodków, zapominając, albo nie wiedząc, że jego „pojętność” ma szerszy zakres i także obowiązki. Jeśli komuś nie w smak mój wywód, niech się przyjrzy poczynaniom inteligentów z typowo klasowych partii politycznych, których nazw wymieniać nie trzeba.

Każdy, kto kiedykolwiek odwiedził Wielką Brytanię, nie może się nadziwić tamtejszym trawnikom. Ich jakość, gęstość trawy, intensywna zieleń i co tam jeszcze, śnią się po nocach niejednemu właścicielowi kawałka ogrodu. W pierwszym odruchu kupuje on mechaniczną kosiarkę i do znużenia strzyże rodzimą murawę. Zapomina jednak, że aby ją można było porównać z trawnikiem angielskim, jej pielęgnacja wymaga kilku stuleci.